Nr. 139.

Dodatek do „Gazety Narodowej"

z dnia 20 Maja 1900.

Kilka słów o obowiązkach dzisiejszej kobiety.

Przedewszystkiem spełniać obowiązki rodzinne, myśleć rozumnie, czuć, działać w duchu katolickim i narodowym — oto hasło przekazane nam przez tradycyę pozostaje niezmienione i dla nowoczesnej kobiety polskiej.

W cichem królestwie domowego ogniska, w najbliższem swojem otoczeniu, wyrobić musi ona poznanie, że rozumie burze i walki życia działać pragnie z tymi:

„Co chcą polepszyć ludzki los
„I przynieść szczęście tej ziemi."

„Gdzie płynie skargi rzewny głos", skargi głodu moralnego, czy fizycznego, — tam niech kobiety polskie:

...wszystkie razem, zmieszane a tłumnie
Jak przykazał duch miłości — pracują rozu-
[mnie.

Zmiany ekonomiczne, ciężkie warunki bytu, stworzyły nowe pola pracy dla kobiet, rozszerzyły i uprawniły ich otwartą działalność w społeczeństwie. Powstają coraz nowe stowarzyszenia zawodowe, kobiety łączą się dla wzajemnej pomocy a tak niedawno jeszcze wyśmiewane zebrania kobiet, zyskały prawo bytu.

Dziś już najbardziej konserwatywne kobiety obdarzone lepszymi warunkami materyalnymi, uznają potrzebę ześrodkowania sił i dobrych chęci, aby zająć się całą masą pracujących „siostr w Chrystusie"; w mieście — robotnicami i służbą; na wsi — ludem.

Niechże każda niewiasta, która ma zapewnione warunki bytu, ogarnie sercem, ogrzanem w cieple domowego ogniska — pracownice, pozbawione tego szczęścia, bo ciężka walka z życiem i praca za domem rozluźniają ich węzły rodzinne.

Mieszkanki miast mogą zająć się służbą i robotnicami, wyrozumieć ich słuszne żądania, a prostować fałszywe. Sposób, w jaki to zrobić, nie zawsze da się określić, sercem trzeba odgadnąć a rozumem badać. Potrzeba takiej pracy jest uznaną, więc się musi działać dla idei; chociaż w mieście, wielkiem mrowisku ludzkiem, znajdą się zawsze osoby rozmaitych przekonań: jedne pochwalą — inne wyszydzą.

Tak samo pracować należy nad ludem wiejskim, a uzbroić się w cierpliwość i wzbudzić w sobie wielką miłość, bo to nie praca chwil, ani lat; ale całych pokoleń — to podwaliny pod budowę lepszej przyszłości.

Potrzebę takiego zbliżenia, uznawały babki, prababki nasze, kiedy lekami z domowej apteczki zaopatrywały wieś całą, niekiedy nawet okolicę; a lud w trosce i potrzebie garnął się do pani. Dziś wzrosły potrzeby, więc zwiększyły się obowiązki, szukajmy ich, dążmy do podniesienia dobrobytu materyalnego i poziomu moralnego. Do pierwszego prowadzi częściowo stworzenie drobnego przemysłu domowego, do drugiego rzucanie w duszę szlachetnych ziarn.

Podtrzymujmy siły duchowe ludu w walce o byt, pomagajmy mu słowem i czynem, zdobywajmy jego zaufanie, aby stał się nam bratem.

Słowa zachęty przysłała nam niedawno poetka-jubilatka:

„W smutnej dobie tej widomej posuchy
[i głodu
Ach ta praca wyda plony, na chwałę
[narodu."

Jes.

Precz z miłością.

Jeden z miesięczników amerykańskich *The New Woman* rozesłał do swoich prenumeratorów, a głównie prenumeratorek cyrkularz, zawierający pytanie: W którym czasie człowiek powinien się żenić lub wychodzić za mąż? Aby krotofilnej poniekąd ankiecie nadać pozory powagi, redakcya żądała, aby odpowiedzi były redagowane z najwyższem uwzględnieniem hygieny, konwenansów i pożytku społecznego, z najmniejszem zaś uczucia i w ogóle wpływów serca. Odpowiedzi nadeszły przeważnie rozważne, a ogólny ton tej osobliwej ankiety świadczy, iż Europa niesłusznie posądza Amerykanki o lekceważące traktowanie stanu, a zwłaszcza obowiązków małżeńskich. Posądzenie to powstało przeważnie stąd, iż za oceanem formalności, związane z zawarciem małżeństwa, doprowadzone są do minimum. Jak zapewniają rzeczy świadomi, w Ameryce ludzie żenią się w ciągu kilku minut, ale przedtem poznają się przez czas długi.

Z przeważnej większości odpowiedzi nadesłanych wypada, iż panna powinna wychodzić za mąż pomiędzy 20 a 30, mężczyzna pomiędzy 30 a 40 rokiem życia, nigdy wcześniej. Trwanie okresu narzeczeństwa nie powinno przenosić 12 miesięcy. Cyfry te nie są niedorzeczne w teoryi, trudno jednak przypuszczać, aby przyjęły się w praktyce, jeżeli za warunek przyjęcia przez tę właśnie praktykę uważać będziemy warunki hygieny, konwenansów lub dobra ogólnego. Widocznie nadsyłający odpowiedzi ograniczyli się wskazaniem normy dla niewielkiej liczby tak zwanych małżeństw z rozsądku, w których wiek mężczyzny i kobiety jest dość posunięty naprzód.

Zrozumiała to redakcya miesięcznika amerykańskiego i poprawiła tekst pytania, które odtąd brzmiało: „W którym okresie czasu człowiek może i powinien się żenić z miłości", usuwając w ten sposób na plan drugi małżeństwa z rozsądku, jako posuwające zbyt daleko liczbę lat, konieczną do zawarcia korzystnego związku małżeńskiego. I oto bardzo mało odpowiedzi zawierało liczby takie lub owakie, zapatrywania mniej więcej sentymentalne.

Większość, a nawet prawie wszystkie dały odpowiedź bardzo stanowczą, iż „z miłości człowiek może żenić się nawet w 18 roku życia, nie powinien jednak — nigdy". Małżeństwo — zdaniem Amerykanów (bo głównie mężczyźni odpowiedzieli na zmienione pytanie) — jest instytucyą zbyt poważną i zbyt wiele ciągnącą za sobą odpowiedzialności, aby mogło kiedykolwiek pogodzić się z uczuciem tak niewiadomem sobą, z namiętnością tak wyłączającą wszelką odpowiedzialność, jak miłość. Każde więc małżeństwo, jeżeli ma odpowiadać wymaganiom hygieny, konwenansów i dobra ogólnego, powinno być zawierane z rozsądku.

Tam, gdzie miłość wchodzi w grę, liczby nie nie mają do czynienia, a więc i małżeństwa z miłości mogą być zawierane w każdym czasie, jako nie dające się okiełznać względem znanej rachuby, a więc żadnemi wymaganiami rozsądku.

Ten sam numer miesięcznika amerykańskiego zawiera kilka autentycznych danych o małżeństwach bardzo ekscentrycznych, zawartych w ciągu roku całego, przyczem redakcya stawia pytanie: jak nazwać tego rodzaju związki, małżeństwami z miłości, czy też z rozsądku. Pomiędzy wierszami odczytać można z niejaką łatwością, że autor artykułu małżeństwa takie nazwałby chętnie małżeństwami z... nierozsądku.

Tak np. jakie przyczyny skłonić mogły zamieszkałego w Franklinie, w stanie Pensylwanii, Johna Clewsa, do ślubienia pani Sary Jennings, krewnej b. prezydenta amerykańskiego Abrahama Lincolna? Pan Clews liczy sobie 102, pani Jennings zaś 100 lat życia. W Marsylii p. Jakób Didier, starzec 101-letni, konserwujący się dotychczas z powodzeniem w kawalerskim stanie, uważał za właściwe poślubić pannę 25-letnią, a starał się o jej rękę przez cztery lata. W Keith, w Szkocyi p. Tomasz Cooper, liczący 92 lat życia, zaślubił „pannę" Małgorzatę Thomson, starszą od siebie o 4 lata. Widocznie zmiana sytuacyi nie posłużyła „pannie młodej", gdyż umarła ósmego dnia pożycia małżeńskiego.

We wszystkich tych małżeństwach pieniądz nie mógł grać żadnej roli, bo strony wstępujące w związek małżeński, należały do bractwa tureckich świętych.

Sztuki piękne.

* **Przybyszewski** miał wczoraj w piątek popołudniu odczyt w lwowskiej sali ratuszowej. Temu co miał czytać, dał tytuł „Syn ziemi". Pewna liczba osób wtajemniczonych i przyjaciół mistrza wiedziała z góry, jaka jest treść odczytu, ale innych wysoce zaintrygował niewytłumaczony „syn ziemi". Co to mogło być? Zgadywano rozmaicie. Jedni — naiwniejsi — twierdzili, że Przybyszewski zamierza dowieść jakiegoś wielkiego bluźnierstwa o Chrystusie Panu, drudzy zaś, obdarzeni skłonnością do filozofowania, zapewniali, że „syn ziemi" to poetyczny synonim słowa „człowiek" a przeto prelekcya będzie miała za temat wszystkie co najgłębsze kwestye związane z bytem ludzkim i rozwiązanie ich zupełnie nowe, genialne i niesłychanie postępowe. Stosownie też do tych kategoryj złożyło się i męskie audytoryum. Przyszło kilku takich, co za swój najświętszy obowiązek poczytują zajmować się literaturą, kilku surowych krytyków ewangelii, której nigdy nie mogą przebaczyć, że nie została napisaną na wzór genialnego Zoli, dalej paru urodzonych filozofów, bezustannie rozbierających bardzo zawiłe pytanie, poco właściwie istnieją na tym świecie i wreszcie dwóch czy trzech zwyczajnych ludzi, zwabionych czystą ciekawością. Obyczajem lwowskim płeć męska wstydliwie skupiła się w cieniu bocznych kolumnad, a że panie, o wiele liczniej zebrane, wolały pójść na galerye, w sali zaś zajęły tylko ostatnie rzędy krzeseł, więc przed prelegentem otwarła się olbrzymia deprymująca pustynia. A przecie razem było słuchaczów sporo. Panie za wyjątkiem zdecydowanych zwolenniczek wszelkiego radykalizmu (umysłowego) były prawie wyłącznie w wieku, w którym sławny i młody człowiek, będący podobno z samym szatanem na stopie *ami cochon* — wzbudza niczem niezwyciężoną ciekawość. Wiekiem tym to albo pierwsza młodość, sam początek wiosny życia, albo owe lata, które od Balzaca dostały nazwisko. Co do wyznania, to stary zakon miał stanowczą między słuchaczami przewagę. Wszystko to ze szczerą i wielką ciekawością czekało, co prelegent powie, poprostu zawisło mu na ustach — i niestety doznało rozczarowania, bo prelegent nic nie powiedział.

Mówił tylko rzeczywiście bardzo ładnie, bardzo poetycznie, wytwornym stylem i z wielką siłą o ziemi kujawskiej opisując ubóstwo jej krajobrazów i wiejącą z jej głębi potężnym prądem bolesną melancholię, szkicował z prawdziwym artyzmem charakter ludu kujawskiego, pasującego się od tysiąca lat w znoju i boleści z nędzą żywota na tej ziemi, na której Polska wyrosła — ale senzacyi w tym rodzaju, jakiego na pewno oczekiwało audytoryum nie wypowiedział żadnej wielkiej. Mniejszych było kilka, ale tego było zamało na rozbudzony ich apetyt. I zresztą podejrzane były w smaku. Takie np. twierdzenie, że Kasprowicz — bo synem ziemi nazwał Przybyszewski Kasprowicza, a za temat swego odczytu wziął jego poezye — że Kasprowicz tedy jest największym obecnie poetą słowiańskim, czyż nie przywodzi na pamięć solidarności słowiańskiej, a z nią prawicy rady państwa, szlachty, stańczyków i nawet kleru? A dalej Przybyszewski jest wielkim poetą, to nie ulega wątpliwości, skoro go podobno i *Berliner Tageblatt* i nawet *Neue Freie* na niego pasowały, ale skąd jemu samowolnie mianować wielkością kogoś o kim ani *Berliner* ani *Neue* nic jeszcze dotąd nie powiedziały? I nakoniec w samej rzeczy prelegent nie dość mocno uzasadnił swoją opinię o Kasprowiczu. Powiedział o nim, że stworzył dreszcz głębi, że w poezyi swej maluje owo bolesne uczucie, które ściska sercem człowieczem, gdy przed oczyma rozewrze się bezdenna przepaść pełna niezbadanych tajemnic, a taką przepaścią jest dla człowieka zagadka bytu. To prawda. Powiedział dalej, że Kasprowicz jest do najwyższego stopnia szczerym poetą, że nie pozuje, ani nie przykrawuje się do modnego szablonu, a jego poezya jest mistrzowskim objawem duszy ziemi kujawskiej i kujawskiego ludu.

I to prawda. Wolno też prelegentowi lubować się w szorstkim języku Kasprowicza i widzieć w nim sławne swoje metasłowo poezyi kujawskiej czy nawet polskiej — choć to już nie jest konieczną prawdą — ale jeżeli u Kasprowicza istotnie — jak chce prelegent — podstawową zasadą poezyi i filozofii jest cierpienie, z którego wszystko wypływa i które samo jedno jest czemś co rzeczywiście istnieje, podczas gdy dobro i świat rzeczywisty to tylko ułuda — to ochotnie przyznając poecie mistrzowstwo w tym rodzaju poezyi, trzeba jednak dodać, że sam rodzaj nie jest największym. Niezawodnie, że filozofia cierpienia, dreszcz głębi, to coś o wiele wyższego niż niski realizm wczorajszej doby literackiej i potężnym jest umysł, który się wzniósł na takie wyżyny, ale z tego piętra na prawdziwy szczyt, tam gdzie panuje harmonia artystyczna i filozoficzne dobro zawsze jeszcze dobry kawałek drogi. Sam prelegent nie śmiał twierdzić, jakoby filozofia cierpienia była najwyższą i tylko wykazywał w jak świetne szaty poetyczne umiał talent Kasprowicza ubrać ten swój pogląd kosmogoniczny. Wykazywał to na dwóch utworach poety, które uznał za największe: „Na wzgórzu śmierci" gdzie dusza człowiecza, zdobyta przez Lucyfera, choć widzi Chrystusa, nie ma mocy do niego polecieć i na drugim poemacie „Swięty Boże, Swięty mocny" w którym również ufność w przedwieczne dobro i zwątpienie w nie nawzajem się zbijają. Na tych to utworach najjaśniej się pokazuje, iż Kasprowicz jest poetą i epoki i filozofii niezharmonizowanej, niezamkniętej w sobie, niezdecydowanej. I ten fakt stawia go niżej od Słowackich, chociaż istotnie wynosi wysoko ponad Baudelairów i ich kompanię. Prelegent odważył się rzec, że Kasprowiczowskie „Na wzgórzu śmierci" jest rzeczą potężniejszą od Baudelaira filigranowych peanów na cześć ducha złego i tymi słowami oczywiście także zniechęcił do siebie audytoryum wczorajsze.

Jeszcze mniej miał szczęścia, wybierając na zakończenie odczytu tak niemodny, przestarzały i banalny frazes, jak: „Błogosławiona ziemia, która takiego (Kasprowicza) poetę wydała!" A już zupełnie się dobił całym układem swojej prelekcyi. Dał jej jak najnudniejszy i najzacofańszy z klasyków wstęp, środek i zakończenie, toteż słuchacze, wyćwiczeni od młodu na dyalektyce talmudu, a przeto znakomicie dotrzymujący Niemcom kroku w ich dążeniu do przylepiania wszystkiemu jakiejś ściśle zdefiniowanej etykiety — w lot znaleźli i dla wczorajszego odczytu właściwą nazwę.

Oklaskiwali go, jak i wszyscy, ale między sobą mówili: ładny, lecz szkolny tzn. wypracowany jak zadanie szkolne wedle starych, uznanych reguł — a ich nerwy tak bardzo są spragnione czegoś nowego i silnego! Ani wstęp, apologia symbolizmu, ani krótki ustęp o metasłowie, ani opis ziemi kujawskiej i charakterystyka poezyi syna ziemi — nie zawierały w sobie światoburczych paradoksów, lecz były na starą modę pochwałą czegoś, co na pochwałę zasługuje — odczyt tedy nie mógł trafić do przekonania tych, którzy go wysłuchali. I to była największa jego wada, ale też i druga — po piękności słowa prelegenta — i niemała jego zaleta.

* **Jubileusz uczonego włoskiego.** Profesor sanskrytu i literatury włoskiej na rzymskiej wszechnicy Anioł hr. de Gubernatis, obchodził w tych dniach jubileusz czterdziestoletniego profesorstwa. De Gubernatis, osobistość bardzo znana we Włoszech, był od r. 1869 do r. 1876 redaktorem miesięcznika *Rivista Europea* we Florencyi, którego jednym ze współpracowników był wtedy śp. Artur Wołyński, założyciel museum Kopernikowskiego w Rzymie Wtedy to *Rivista Europea* zamieszczała wiele artykułów o Polsce pióra de Gubernatisa albo Ar. Wołyńskiego. Nie kto inny także, jeno de Gubernatis przełożył na włoski język nowelę H. Sienkiewicza p. tyt. „Z pamiętników poznańskiego nauczyciela". Z powodu jubileuszu profesor de Gubernatis otrzymał od króla Humberta wysokie odznaczenie tj. order „Grand officier" korony włoskiej.

* **„Uniwersytet Jagielloński i jego dzieje".** Pod takim tytułem opuściła w tych dniach prasę drukarską książeczka, wydana nakładem i staraniem „Macierzy Polskiej". Rzecz opracowana przez dr. Wojciechowskiego z powodu 500-letniej rocznicy założenia najstarożytniejszej szkoły polskiej, zaopatrzoną jest w 12 ilustracyj, wśród których jest 8 portretów zasłużonych dla tej instytucyi mężów. Cena 30 hal. z przesyłką 35 hal. Adresować należy: Biuro „Macierzy Polskiej" Lwów, gmach sejmowy.

* **„Wiadomości artystycznych"** nr. 9, dwutygodnika poświęconego muzyce, teatrowi, literaturze i sztuce zawiera zajmujący artykuł o jubilacie-kompozytorze Adamie Münchheimerze (z podobizną) napisany przez A. Dobrowolskiego, następnie dokładny rozbiór opery Münchheimera „Mazepy" z przykładami nutowymi przez dr. E. Waltera. Dział teatralny omówiony przez St. Bursę, ozdobiony podobiznami pny Bronikowskiej, pni Kliszewskiej i pny Schuppówny oraz pp. Boguckiego, Kratochwila i Lelewicza. Dział koncertowy rzeczowo omówiony jest przez dr. L. Grudera w artykule p. t. „Z sali koncertowej." Zajmujące korespondencye z Medyolanu, Wiednia i Warszawy i kronika informują nas o życiu muzycznem poza Lwowem. Jako dodatek otrzymują prenumeratorowie wyjątek z opery „Mazepa" Münchheimera.

ROZMAITOSCI.

Cześć Włochów dla Sienkiewicza. Korespondent *Kurjera warsz.* pisze: „Otrzymałem świeżo zapytanie od dyrekcyi teatru „Manzoni" która się mnie radzi, czyby nie można urządzić w Rzymie wielkie galowe przedstawienia „Quo vadis" na cześć Sienkiewicza? Dyrekcya chce wynająć na jeden wieczór w jesieni wielki i piękny teatr tutejszy „Politeama Adriano" zaprosić królowę i dwór, a nadewszystko zaprosić Henryka Sienkiewicza, aby przyjechał — i wyprawić mu owacyę! Myśl jest tak ładna, że szkodaby było, gdyby się nie ziściła. Z Rzymu Sienkiewicz musiałby jechać do Neapolu, gdzieby go powitano entuzyastycznie".

„Wolna scena" wiedeńska. Nareszcie wielką „hecą" zakończył się tutejszy szwindel z „wolną scen". Z poważnych, godnych uznania tendencyi garść "Kaffeehausliteraten" zrobiła sobie w Wiedniu zabawkę gwoli własnej reklamie. Niejaki p. Schmidt, który przybrał przydomek „Borgias" dla odróżnienia od innych Schmidtów, był duszą tych figlów, które pod hasłem wolnej sceny od czasu do czasu dostarczały pożądanej zawsze hecy. Z poważniejszych literatów nikt nie brał udziału w zabawie. Pierwszym czynem wolnej sceny było wystawienie komedyi p. Borgiasa Schmidta, wysoce humorystycznej. Drugim czynem wesoły kawał, który miał być urządzony policyi, ale który przeciwnie przez policyę był urządzony wolnej scenie. Mowa tu o nieudatnem przedstawieniu „Młodości" Halbego. Wreszcie p. Borgias Schmidt postanowił godnie uczcić Heinego. Udramatyzowana „Harzreise" i „Ratcliff" stanowiły program wieczoru. Gdy publiczność, spodziewająca się znowu hecy, o w pół do ósmej zaczęła napływać do sali towarzystwa kupieckiego (gdzie odbywają się zazwyczaj wieczorki polskie) światła nie były zapalone. Aha, nie zapłacono jeszcze za salę, twierdzili doświadczeni widzowie. Po półgodzinnem oczekiwaniu, urozmaiconem przebijaniem dekoracyi, światła zajaśniały i — „Podróż po Harcu" oddeklamowano. Potem nastała długa pauza, muzykanci w liczbie sześciu grają polkę po polce, z za kurtyny wychyla się nagle głowa jednej z aktorek i rzuca na salę pytanie:

— Czy tu nie ma dyrektora? — Smiech, brawa, tupania nogami, muzykanci grają polkę, heca co się zowie. Nareszcie podnosi się zasłona i jeden z aktorów ma następującą przemowę: „Szanowna Publiczności! Przedstawienie odbyć się nie może, bo właściciel wypożyczonych kostyumów Ratcliffa i Douglasa nie chce ich nam wydać, póki nie otrzyma należnej sumy 40 złr. Muzyka i artyści też nie otrzymali gaży, dyrektor zaś znikł, rzekomo w celu pożyczenia pieniędzy na mieście i nie powrócił". Poczem ów aktor dla odszkodowania publiczności zadeklamował kilka poezyi Heinego, następnie jeden ze studentów, z burszowską czapeczką na głowie, statystujących w „Podróży po Harcu" oświadczył publiczności, że wprawdzie ucieczka dyrektora jego osobiście nie dotyka, gdyż tylko z miłości dla jednej z artystek uczestniczył w przedstawieniu, ale biedni aktorzy nie mają nawet na kolaeyę, trzeba więc składkę na nich urządzić. To też nastąpiło. Taki jest koniec „wolnej sceny" w Wiedniu, hecy wiedeńskiej z tendencyami artystycznemi nie mającej nic wspólnego.

Stary zwyczaj. W niektórych miasteczkach i wsiach we Francyi przechował się po dziśdzień stary zwyczaj pochodzący jeszcze z czasów średniowiecznych. Główną ulicą kroczy dziwny i zarazem zabawny pochód. Jednego z mieszkańców, ubranego w czepek sadzają na ośle przodem do ogona i tak oprowadzają głównemi ulicami. Jeździec ma na plecach tablicę z napisem: „Obity przez żonę i zadowolony z siebie." Tłumy gawiedzi towarzyszą takiemu pochodowi. Żarty i dowcipy sypią się obficie. Szczególniej kobiety zdradzają najwięcej ciekawości i krzyczą najgłośniej. Co zawinił człowiek w ten sposób ośmieszony? Oto żona wybiła go a on nie odpłacił się tą samą monetą. Za to został skazany na jazdę na ośle z kartą na plecach.

Wieczysty ogień płonie dotychczas od 1200 lat w świątyni Udwada w Indyach. Ogień ten podsycany bywa pięć razy na dobę sandałowem drzewem i różnemi pachnącemi gałązkami. Przynieśli go tam Gwebrowie, czyli czciciele ognia z Persyi. Kiedy niekiedy przybywają oni z różnych stron Indyj, aby się zniczowi pokłonić.

Wzrost człowieka. Przekonano się, że człowiek najprędzej rośnie w pierwszym roku życia. Przybywa mu przez ten czas 16 centm. Od jednego do 3 lat wzrost jest powolniejszy a w 5-tym roku życia dziecko dosięga połowy wysokości, jaką będzie miało po dorośnięciu. Od piątego roku człowiek wciąż rośnie aż do 16-go, a w zwykłych warunkach przebywa mu średnio co roku 5 centym. Od 16-go r. wzrost staje się powolniejszym. Przez następne 2 lata przebywa człowiekowi rocznie po 12 milim. najwyżej. Od 18—20 roku życia przybywa mu rzadko więcej nad 14 milim. Gdy dosięgnie lat 26-iu zwykle już róść przestaje.

W ślady szczęśliwego cygana księżny Chimay wstąpił impresaryo orkiestry cygańskiej Baky. Usidliwszy wdziękiem swoim serce lekkiej niewiasty, hrabiny de Raime w Paryżu, wyłudził od niej 78.000 franków, poczem wrzekomo w celu nabycia dóbr, gdzieby kochająca się para mogła sobie gniazdko usłać, zdradziecko drapnął do Pesztu. Rozczarowana na punkcie miłości cygańskiej hrabina Raime wniosła tedy skargę naprzód do sądu paryskiego, który niewiernego cygana zaocznie skazał na trzy lata więzienia, następnie domagała się sprawiedliwości w Peszcie. I tu ramię władzy karzącej dosięgło uwodziciela. Sąd karny peszteński uznał go za winnego oszustwa i na dwa lata zasadził do więzienia.

Posąg Zbawiciela na szczycie góry. Letnią siedzibą naszych OO. Zmartwychwstańców pod Rzymem jest Mentorelli. W górach osłaniających Tivoli — Tibur Horacego — leży wysoko, zdala od mieszkań ludzkich, klasztor Mentorelli i kościółek, oddane przez Piusa IX OO. Zmartwychwstańcom. Jeszcze wyżej na samym szczycie skalistych gór leży mała zapadła wioska Guadagnolo. Otóż w tem Guadagnolo, na samym „wirchu" nad Mentorellą umieszczony będzie kolosalny posąg Zbawiciela, wedle niedawno powziętej myśli, aby najwyższe włoskie szczyty ozdobić świętymi posągami. Szczyt Guadagnolo panuje nad całą Kampanią rzymską.

Porucznik i bocian. Jaka różnica zachodzi pomiędzy porucznikiem a bocianem? a) Bocian potrafi stać na jednej nodze, porucznik potrafi to również b) Bocian potrafi stać i na drugiej nodze, porucznik także c) Porucznik może stać na prawem skrzydle a tego bocian nie potrafi.

Wystawa i zaręczyny. W Paryżu spodziewają się na wystawę króla szwedzkiego i następcy tronu duńskiego. Otóż podobno spotkanie ich będzie sposobnością do zaręczyn najmłodszego syna króla Oskara księcia Eugeniusza z księżniczką duńską Thyrą, wnuczką królewską.

30

Prawo starszeństwa.

Powieść

Champola.

(Ciąg dalszy.)

— Skąd wiesz, że przeznaczone nie dla nas?

Walter westchnął i nie odwracając oczu od obrazu, mówił dalej:

— Nie bez pewnego zamiaru obraz ten, na który spoglądali nasi prodkowie, zawieszono w tem miejscu. Czyż słowa te nie stosują się do nas wszędzie, tam zwłaszcza, gdzie zdaje się nam, że jesteśmy najbezpieczniejsi, najsilniejsi i najszczęśliwsi? Większość nie dostrzega ich i tonie w uciechach. Inni odczytują je. Czy ci ostatni są uprzywilejowanymi, czy przeklętymi?

Wskazał przerażoną twarz Baltazara i zakończył słowami:

— Przeklęci są ci, którzy znają swą przyszłość!

Poczem powstał i wrócił do salonu.

Popołudniu Walter był tak rozdrażnionym, że Queenie, nie mogąc go rozweselić, zaproponowała spacer.

Uczyniła to z żalem, gdyż wiedziała, że Walter zechce pójść do parku, którego ona nie lubiła.

Tam miała pierwszą scenę ze Stefanem, tam słyszała opowiadanie Waltera nad brzegiem stawu, do którego lękała się podchodzić.

I rzeczywiście Walter po wyjściu z pałacu, zwrócił się do parku.

— Nie — rzekła, odciągając go w stronę przeciwną — chodźmy tędy.

Usłuchał jej bez oporu.

Od rana posiadła nad nim władzę, którą dostrzegała i której lękała się, widziała bowiem w Walterze raczej machinalną uległość istoty słabej, niż grzeczność człowieka niezależnego.

Walter ujął ją za ramię i dał się prowadzić bezwiednie.

— Głowa mnie boli tak mocno — rzekł — że prawie nic nie widzę przed sobą.

Dzień był upalny, lipcowy, ale gęste, ciemne chmury płynęły nisko i gorące powietrze dławiło oddech.

— Zimą, mgła; latem burze — mówiła, usiłując na swój ulubiony temat nawiązać rozmowę. — Ponieważ Stefan nie słyszy mnie, więc przyznam się, że klimat nasz jest nieznośny! Przypominasz sobie piękną zimę w Nizzy, lato w Pirenejach i jasne słońce przez cały rok?

— Pamiętam — szepnął Walter — piękne to były czasy.

— Bardzo łatwo możemy je zawrócić. Walterze, kiedy powrócimy do Francyi?

— Nie powrócimy tam już nigdy.

— Jakto! nigdy? i dlaczego, skoro sam powiedziałeś, że było nam tam lepiej niż tutaj.

— Teraz nie byłoby już lepiej. Nie wyjadę już z majątku.

Stanowczy ton słów Waltera zasmucił Queenie.

— Nigdy? Ależ to okropne!...

— Mówię tylko o sobie. Nie jesteś związaną z moim losem i ja zawsze spodziewałem się, że opuścisz mnie, jak i wszyscy.

Opuścił ramię Queenie i szerokimi krokami odszedł w stronę.

Dogoniła go, przemocą wzięła jego rękę i zaczęła gderać:

— Jak możesz mówić coś podobnego? I do kogo? Do mnie, która mam was tylko dwoje na świecie, Teresę i ciebie i kocham was, może nawet zanadto.

Walter spojrzał na nią, jak gdyby z niedowierzaniem, jak gdyby jej nie poznawał, lub widział po raz pierwszy i rzekł:

— To dziwne, że mnie lubisz.

Gęste chmury ciemniały i obniżały się coraz więcej, pomiędzy szpalerami grabowymi brakło płucom powietrza.

Jaskółki latały nad samą ziemią, zdala dochodził głuchy odgłos grzmotów.

— Cóż w tem dziwnego, że kocham ciebie? — zapytała Queenie.

— Bo nikt nie kocha mnie, nawet Teresa.

Queenie rzuciła się oburzona.

— Przyznaj, że to jest żart i bardzo niewłaściwy.

Ale on potrząsnął tylko głową i patrzał w ziemię.

— Jesteś cierpiącym Walterze — rzekła Queenie, jak dziecko, otaczając szyję jego ręką. — Każdy chory miewa różne przywidzenia. Weź naprzykład mistress Brent.

Lecz Walter nie dał jej dokończyć porównania.

Usunął rękę Queenie i zwróciwszy się ku niej, zawołał rozdrażniony:

— Nie jestem ani chorym, ani obłąkanym... jestem tylko nieszczęśliwym!

(C. d. n.)

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Platon Kostecki. Z drukarni i litografii Pillera i Spółki